ROZMAITOŚCI.

Dnia 1 sierpnia, Ner 31. roku 1846.

KAZANOWA.

Byłoto w czasie zapust. Cudzoziemcy ze wszystkich krajów, zwabieni świetnością włoskiego karnawału, ściągali się tłumnie do przepysznéj stolicy Adryjatyku, chcąc być świadkami szalonéj wrzawy, swobody i uciechy, jakie tam zacząwszy od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia aż do środy popielcowéj, bez przerwy i wytchnienia dniem i nocą panują. W ciągu téj pory cały takzwany »plac placów» podobny jest do niezmiernéj sali balowéj, gdzie nieprzejrzane roje masek jak fale morskie tam i sam się toczą. Chińscy mandarynowie ramię w ramię z florentyńskiemi kwiatarkami, rzymskie westalki w towarzystwie hiszpańskich Don Żuanów, szkockie »panie jeziora» z rosyjskimi kozakami, perskie, urocze Peri i Żydzi polscy, indyjscy bonzowie i weneckie Kolombiny, pasterki z Arkadyi i białe niedźwiedzie Grenlandyi, arlekiny bergamejskie i paryzkie gryzetki, czarownice z Łysej Góry i błędni trubadurowie, do tego całe mrowisko Pierrotów, Pantalonów, i innych masek z *commedia dell' arte* — wszystko to cisnęło się skacząc, gwizdżąc, spiewając, wrzeszcząc, śmiejąc się i przedrzeźniając; wszystko to sycząc, szumiąc i hucząc, płynęło rozbujałym prądem w zamętny wir karnawałowy. Cała Wenecyja była jedną maską; sam doże nawet zrzucił swój płaszcz książęcy a przywdział proste domino, aby niepoznany, jak niegdyś ów Harun-al-Raszyd, pośród natłoku upojonej uciechą ludności swego Bagdadu się zabawił. Członkowie wielkiéj rady zgromadzali się w maskach na posiedzenia. Ze wszystkich zakątków, ze wszystkich domów, ze wszystkich okien, brzmiała muzyka: tu kwiliła mandolina, tam hałasował bęben, owdzie grzmiał puzan; tu odzywała się tęskno piosnka miłośna, tam huczała wrzeszcząca, wszystko zagłuszająca muzyka janczarska. Całe miasto oddawało się najswawolniejszym zbytkom i wyuzdanéj rozpuście; pobożne mnichy i świętobliwe zakonnice, poprzebierane za Pantalonów i Kolombiny, za pielgrzymów i nietoperzy, uczestniczyły w téj światowéj rozrywce, i wynagradzały sobie klasztorne posty całego roku. Plac św. Marka, wrzący rojami masek, zamienił się w ogromny dom szalonych: tu arlekin stał na głowie lub przewracał koziołki, tam znowu Pierrot toczył się jak obręcz nogami i rękami; olbrzymie dziecko niosło swoję starą mamkę na plecach; tam zgraja wrzaskliwych żaków kuksała swego czcigodnego bakałarza. Wielu cudzoziemców wyłaziło na wieżę Campanile, aby z téj wysokości przejrzeć wrzące na dole morze masek, które wzajemnie z siebie drwiąc i szydząc, jak bałwany morskie tam i sam się przelewały. A skoro się zmierzchać zaczęło, rozświeciły się tysiące świateł w oknach starych i nowych prokuracyj, a byzantyńskie kopuły metropolii, oblały się stobarwnemi strumieniami jasności, spływającemi na takzwany „plac mniejszy" — gdzie się skoczki, marionetki, kuglarze i niedźwiedzie popisywały W ciągu karnawału stała się Wenecyja niejako wcielonym, urzeczywiszczonym Dekameronem Boccaccia, opowiadającym tysiące zabawnych powiastek, tysiące swawolnych przygód, które nawet najponurszego słuchacza rozweselić, w różany humor i w błogie obłąkanie zmysłów wprawić mogły. Karnawał wenecki byłto rozkoszujący Sardanapal, który nieustannie pełnemi garściami swe bogactwa po ulicach rozrzucał, a w popielcową środę, pod gruzami swoich skarbów się grzebał.

* * *

W tym roisku masek uganiał się ostatniego tygodnia karnawałowego, roku 1756, pewien jegomość w jasnojedwabném domino, któremu nieco bliżéj się przypatrzymy; jest on bowiem jeden z głównych działaczy naszéj małéj powiastki. Człowiek ten, mający wówczas około lat trzydziestu, był bożyszczem wszystkich kobiét, a postrachem wszystkich mężów w Wenecyi, pierwszy rozpustnik całych Włoch, słowem byłto Jakobo Kazanowa de Seingalt.

Jest mało mężczyzn, którzyby swojemi miłośnemi przygodami tak wielką sobie sławę zjednali, jak ten Kazanowa, który drugi Linneusz w miłości, drugi Buffon w znajomości serca kobiecego, tę naj-

większą ze wszystkich zagadek tak dalece odgadnął, iż miłość, ta odwieczna Sfinks, ze wszystkich obsłon obrana, w swojéj najskrytszéj głębi przejrzana, kornie u stóp mu legła. Każda kobiéta, na którą tylko raz okiem rzucił, z którą tylko raz w życiu mówił, była już ofiernem jagnięciem jego bystrego wzroku, który w lot umiał odkryć owę Achilesa piętę, w którą ranioną być mogła. Najmocniejszą stroną Kazanowy był dar wynajdywania w oka mgnieniu słabéj strony téj osoby, którą chciał sobie ująć. Kazanowa uczynił sobie z miłości naukę, umiejętność, która dopóty go zajmowała, aż póki wszelkie zadanie rozwiązaném nie zostało. Co za piękna, rozkoszna nauka! Serca kobiece byłyto dziedziczne dobra Kazanowy, a miłość kobiét dochodami jego. Jak ów Don Żuan, który urokiem muzyki mozartowskiéj stał się nieśmiertelnym, mógł i nasz bohatér poszczycić się długim pocztem Anien i Elwir, które daninę mu składały.

Do tych kobiét należała także Pulcheryja Martignano, młoda i ładna żoneczka pewnego starego i brzydkiego *nobile,* który niedawno z okolic Treviso do Wenecyi się przesiedlił. Signora Pulcheryja była zupełnem abecadłem wszystkich owych wdzięków, które potąd niebezpiecznémi nazywamy, dopóki są dość silne, oprzéć się hołdom swoich wielbicieli. Jasnoniebieskie oko, i żółty jak złoto, a miękki jak jedwab włos — dwie rzadkie u Włoszek zalety — nadawały jéj piękności osobliwszego uroku, na którym zapewne nikt się lepiéj nie znał, jak nasz niezwyciężony zdobywca serc kobiécych, signor Kazanowa, ten bicz boży na wszystkich małżonków. Signora, od dziesięciu miesięcy zamężna, nie miała najmniejszego powodu miéć się za szczęśliwą, zwłaszcza że stary jéj małżonek był nadzwyczajnie podejrzliwym, niedowierzającym i zazdrosnym. Ile razy mu dla jakich sprawunków swoję młodą żonę opuścić przychodziło, zamykał ją zawsze jak niewolnicę w odległym pokoju, gdzie pomiędzy innémi staroświeckiemi sprzętami, także jakaś tajemnicza i bardzo podejrzana szafa stała. Wszystkie kobiéty mają tę słabość, iż są nieco ciekawe. Pulcheryja nie była wcale wyjątkiem od tego powszechnego prawidła. Owa szafa, która od razu ciekawość jéj obudziła, była jéj ciągle na myśli, i nie raz już nalegała na męża, aby jéj powiedział, dla czego on ten stary grat tak starannie zamyka, i mimo wszelkich błagań nigdy go wewnątrz pokazać nie chce.

„Moje dziecię,"— mawiał starzec — „nie zmuszaj mię do wyjawienia ci tajemnicy, od któréj zachowania, moje i twoje życie zawisło. Proszę cię i zaklinam Pulcheryjo, nie pytaj mię nigdy o to, co moja rodzina w téj szafie od przeszło trzystu lat kryje. Tyle tylko mogę ci powiedzieć, iż jest tam pewna relikwija, którąby się nam zgubną stała, gdyby ją tam kto znalazł."

»Dręczysz moje ciekawość...."

„Żałuję mocno, lecz więcéj nie wolno mi powiedziéć."

Taka była ustawiczna wymówka, jaką signor Martignano ciekawość swojéj niezmordowanie nowemi nań prośbami nacierającéj małżonki zbywał i w należyte karby małżeńskiego posłuszeństwa zwracał.

Jednego wieczora, gdy zazdrosny Otello biédną Pulcheryję znowuż w owym odległym pokoju był zamknął, nieszczęsna tajemnicza szafa rozbudziła nanowo tak dalece ciekawość i fantazyję biednéj, udręczonéj Pulcheryi, iż zaczęła drzéć z niespokojności i trwogi.

„Matko Boska!" zawołała Pulcheryja. „Miałżeby mój mąż być podobnym owemu rycerzowi Sinobrodzie, który żony swoje mordował? A szafa ta miałażby ich zwłoki przechowywać! Miałożby to w istocie być prawdą, iż piérwsze dwie żony jego nienaturalną śmiercią umarły? Boże, toby okropnie było!"

W téj chwili zabrzmiała pod jéj oknami piosnka z towarzyszeniem mandoliny.

„To on! To on!" rzekła Pulcheryja zcicha i otworzyła okno.

Za chwilę śpiewak onéj piosnki wydźwignął się po jedwabnéj drabince do okna więzienia signory Martignano, i wskoczył chyżo do środka.

»Aniele!" zawołał kochanek czule. „Znowuś pod zamknięciem!"

„Ach, w istocie, kochany Jakobo, jestem bardzo nieszczęśliwa;" westchnęła Pulcheryja.

„Dla czegożto, kochanie mojéj duszy?" zapytał Kazanowa.

„Ponieważ złowrogi los mój złączył mię z człowiekiem, który, jak ów rycérz Sinobroda, żony swoje morduje."

»Morduje?" powtórzył signor-cavaliere. „Jak to rozumiesz, piękna swawolnico, najnadobniejsza ze wszystkich kobiét? Zkądże ci ta myśl przyszła?"

„Czy widzisz ową szafę?"

»Oczywiście."

„A wiészże, co w niéj jest?"

„Nie."

„I ja też nie wiém; ale to właśnie najbardziéj mię niepokoi. Od dziesięciu miesięcy proszę i zaklinam mego starego nieznośnego męża, aby mi wyznał, co jest w téj szafie, zawsze mi odpowiada, że mu n i e w o l n o tego powiedziéć. Pojmujesz tedy, iż w tém jest jakaś okropna tajemnica."

„Miałżeby on doprawdy...."

»O, przeczucie moje mnie nie zwodzi!"

„Ależ dla odkrycia téj tajemnicy nie potrzeba nam nic więcéj, jak tylko tę szafę otworzyć."

»To się łatwo mówi, ale jakże? kiedy żaden ślusarz w Wenecyi nie zdoła tego uczynić?"

„Któż to powiada?"

»Mój mąż."

»Kłamie! Mam ja w domu klucz, moja Pulcheryjo, który wszystkie zamki otwiéra. Jutro przyniosę go z sobą; jutro więc będzie ciekawość twoja zaspokojona. Dziś zaś nie traćmy czasu i używajmy téj krótkiéj chwili, jakiéj nam zazdrość twego męża dozwala.»

»O, mój drogi Jakobo!» zawołała Pulcheryja w uniesieniu. „Zatém jutro dowiém się o wszystkiem!»

* *
*

Przyjaciel nasz Kazanowa wrócił szczęśliwy do domu i udał się na spoczynek. Podczas gdy mu bóg Morfeusz czarowne arabeski najpiękniejszych snów snuje, my, dla bliższego zapoznania się z charakterystyką kawalera, zaglądnijmy do jego biurka, pomiędzy porozrzucane papiéry, zapełnione dorywczémi zdaniami, i wydobądźmy ztamtąd garść aforyzmów, które mogą do jaśniejszego wyświecenia charakteru jego posłużyć. Czytajmy i sądźmy:

»Miłość jest podnóżkiem wszystkich zbrodni, a piedestalem cnót wszelkich.»

„Wiara jest drzémaniem duszy.»

„Nadzieja jest fantazmagoryją życia: oddala się tém bardziéj od nas, im bliżéj niéj jesteśmy.»

„Nic, nie ma nic tak niepodobnego do siebie w świecie, jak jedna kobiéta do drugiéj.»

»Twoja żona zwiodła cię — rzekł margrabia M. do księcia V., jednego z najdowcipniejszych mężów dworu Filipa orleańskiego. — Jakto? zawołał książę — miałażby ona być mi wierną?»

„Marchese C. mawiał o swojéj żonie: Przenoszę ból sprawiony jéj zdradą, nad hańbę, pochodzącą z mniemania o jéj bezwarunkowéj niewierności — Coto za gap' arcypoetyczny!»

»Każda kobiéta, jak mówią, jest zagadką. Rozwiązanie téj zagadki jest w tych słowach: *Chacque femme est un charmant être qui s'habille, babille et deshabille.* (Każda kobiéta jest przyjemném stworzeniem, które się ubiéra, szczebioce i rozbiéra.)»

„Pytano raz pewnego sławnego filozofa starożytności, dla czego on piękność lubi. Tak, może się tylko ciemny zapytać, — odrzekł starzec. — Dzięki Bogu, nie jestem ciemnym.»

„Każda kobiéta jest cztérotomowym romansem, piérwszy tom daje nadzieję, drugi staje się już rozwlokłym, trzeci dziwaczy bez związku, a czwarty zaléwa się gorzkiémi albo téż udanémi łzami. Kto pojedyncze stronice romansu chce przerzucić, ten wystawia się na niebezpieczeństwo stracenia wątku i przeglądu całości; kto zaś wszystko chce czytać, nic nie przerzucając, ten straci zbyt wiele czasu i unuży się wreszcie tak dalece, iż rad jest, gdy się już końca doczeka.»

»Z trzech kobiét — jedna ulega z miłości, druga dla zysku, trzecia dla niczego.»

Do téj trzeciéj kategoryi należała signora Martignano, która jedynie dla tego zdawała się kochać Kazanowę, że miała wiele powodów być niezadowoloną ze swego męża, a nawet niecierpieć go jako nudnego i nieznośnego. Dwudziesto-trzechletnia mężatka w objęciach sześćdziesięcioletniego zazdrośnika, jestto róża zamrażająca się w śniegu, któréj los ma rzeczywiście coś tragicznego.

* *
*

Następnego wieczora gdy signor Filipo Martignano jak zwykle w Ridotto di San Moisè przy faraonie siedział, i dukata za dukatem przegrywał; nasz przyjaciel Kazanowa zakradł się jak zwykle pod okno swojéj sercowéj damy, która za chwilę już go namiętnie do piersi przyciskała.

„Kochanku, i cóż?» zapytała piękna Pulcheryja. „Czy przyniosłeś klucz wiadomy?»

„Jużci przyniosłem!» odrzekł nasz bohatér wciskując płomienny pocałunek na różane jéj usta.

»A więc otwórz, otwórz! Niech już raz spadnie zasłona z téj tajemnicy.»

Długo opiérał się zamek owéj szafy wszelkim sposobom przyniesionego przez Kazanowę wytrycha; nakoniec jednak musiał ustąpić.... drzwi się otworzyły, a zamiast żon zamordowanych, ujrzano staroświecki portret.

„Cóżto jest?» zapytała Pulcheryja.

»Sądząc po mitrze, zdaje się to być portret doży. Ale stój, czyto nie jakiś napis tam w rogu? Nie inaczéj. A! teraz wiém już wszystko!»

»Chciejże i mnie powiedzieć!»

»Nie teraz, nie teraz, mój aniele; chwile nasze są policzone, a wnet uderzy godzina, w któréj twój mąż od faraona powraca. Kochanko, czas drogi!...»

„Piérwéj jednak muszę wiedziéć....»

„Jutro, jutro usłyszysz całą historyję tego obrazu.... na dziś, luba, jużto zapóźno... pójdź, kochanie, pójdź!»

W téj chwili usłyszeli oboje kaszel starego signora Martignano, który dziś wcześniéj niż zwykle do domu wracał.

„O, nieba! Mój mąż!» krzyknęła przestraszona Pulcheryja.

„Zgaś świécę!» rzekł Kazanowa, chwytając szybko za kapelusz, płaszcz i mandolinę, i wskakując czémprędzéj do szafy, któréj drzwi właśnie w tymsamym czasie się przymknęły, gdy drzwi do pokoju więziennego się otworzyły i wszedł niémi pokaszlujący tyran domowy.

„Święty Marku!» ozwał się signor Martignano. „Dla czegożto moja droga Pulcheryja po ciemku siedzi.»

„Przeciąg wiatru zgasił świécę przed chwilą.»

„Szczęśliwym przypadkiem wracam dziś o godzinę wcześniéj niż zazwyczaj do domu. Zaczekaj, moje dziecię, za krótką chwilkę jestem znowu u ciebie.»

*

To mówiąc, udał się stary po omacku przez długi korytarz do swego pokoju, aby tam krzesiwa poszukać i świecę zapalić, a tymczasem Kazanowa wyszedł z szafy, zamknął ją za sobą, uścisnął serdecznie Pulcheryję, i wskoczywszy na okno, spuścił się po drabince do czekającej go na dole gondoły.

Zaledwie Pulcheryja okno za uciekającym zamknęła, wrócił signor Filippo z zapaloną świécą do więzienia swojéj małżonki.

„Cóż za zbyt szczęśliwa gwiazda sprowadza cię dziś, kochany Ulisesie, tak niezwykle wcześnie w ramiona twojéj utęskniającéj za tobą Penelopy?” zapytała Pulcheryja z wymuszonym uśmiéchem.

„Jestem coś nie zdrów, moje dziécię. Kaszel mię dręczy nieznośnie. Pójdź Pulcheryjo, połóżmy się spać.”

»Co téż gadasz? Nie jestem wcale spiącą i posiedzę jeszcze z godzinę. Chcę doczytać téj książki.»

»Wolnoż wiedziéć, jakiemu poecie podarzyło się to szczęście zajęcia uwagi twojéj?»

Pulcheryja pokazała mu książkę; byłto dziwaczny poemat pod napisem „*Il'R-sbandita*”, składający się z kilku tysięcy wiérszów, pomiędzy któremi ani jedno *R* się nie znajdowało. Autor téj literackiéj osobliwości nazywał się Vincenzo Cordone, i był mnichem dominikańskim, który żył na początku siedmnastego wieku, i *R* wymówić nie umiał.

Signor Martignano, który nieco mistycznego tytułu téj książki od razu pojąć nie mógł, zapytał zazdrosném zdjęty podejrzeniem:

»I co téż jest w téj książce?»

»Jest tam historyja niegodziwego zdrajcy, który swojéj żonie wyznać nie chce, co on przed nią w jakiejś tajemnéj złotéj puszce ukrywa. Przy téj sposobności, Filipo, muszę ci powiedziéć, iż owa szafa, któréj ty w mojéj obecności żadną miarą otworzyć nie chcesz, podejrzenie we mnie zbudza, jakbyś ty....”

„Mówże, kochana Pulcheryjo, mów!” prosił stary.

„Nie, nie; wolę zamilczéć.”

„Dla czegoż?” zapytał Filipo z wzrastającą niespokojnością. »Alboż wiesz, co w téj szafie się kryje?”

»Wiém....”

»I odkądże?»

„Już od kilku tygodni.”

„I któż cię z tą nieszczęsną tajemnicą zapoznał?”

„Bożek snów. Pewnéj nocy, gdym właśnie była zasnęła, pokazał mi się we śnie młody, piękny, miły kawaler, który złotym czarodziejskim kluczem tajemniczą szafę otworzył, i do ucha mi szepnął: Nieszczęśliwa niewiasto, wyjawię ci tajemnicę twego małżonka, który jest starym zgrzybiałym zbrodniarzem. Tam w owéj szafie ukrywa on obraz....”

„Mów, mów daléj, czyjże?”

„Nie, daléj nie wolno mi mówić!” rzekła chytra Ewa.

„Pulcheryjo!” zawołał starzec, drząc na całém ciele. „Mogłażbyś kiedy być tak okrutną, abyś zdradziła tę tajemnicę?”

„To zależy od okoliczności. Gdybyś i nadal chciał mię wolności pozbawiać, natenczas bądź przygotowanym na wszystko. Wyrzeknę tylko słowo, a....”

„Pulcheryjo! Uczynię wszystko, czego żądasz, jeżli mi poprzysiężesz, że nikomu więcéj ani słowa o tym obrazie nie wspomniész, gdyż inaczéj, jestem zgubionym.”

„Wiém o tém; a przeto musisz każdéj mojéj woli być uległym, jeżli chcesz, abym się na ciebie nie rozgniewała... bo skoro się rozgniewam....”

„Milcz, milcz kobieto, gdyż i ściany mogą podsłuchać. Niech licho porwie owego bożka, co ci odkrył tajemnicę tego obrazu, który nasza rodzina od przeszło lat trzystu jako świętą relikwiję przechowuje. W twoich rękach, Pulcheryjo, jest teraz moje życie i wolność moja. Okaż iż jesteś szlachetną i umiész milczéć jak grób.”

»Ale będzieszże odtąd zawsze grzecznym i posłusznym dla mnie, i nie będziesz mię już więcéj zamykał?»

„Będę posłusznym na każde skinienie twoje, i wszystko co ci radość sprawia, uczynię.”

„Więc zaraz ci tu maleńką próbę zadam. Karnawał upływa.... nie byłam jeszcze na żadnéj tegorocznéj zabawie; pojutrze zaś chcę się także rozweselić i pójdę na wielki bal maskowy. Daszże mi słowo, iż mię tam zaprowadzisz?»

„Przyrzekam ci to.”

»Możesz tedy pójść spać.”

»A tyż ze mną nie pójdziesz?»

„Signor Martignano, nie nudź swojéj żony niepotrzebnémi pytaniami.”

Stary wyszedł z niechętném zadziwieniem z pokoju.

Następnego wieczora, gdy pocieszyciel Pulcheryi znowuż po drabince do jéj okna się zakradł, nie chciała ona mu wprzódy dać pocałunku, aż póki jéj historyi owego obrazu nie opowiedział.

„Jestto portret sławnego ze swoich nieszczęść doży Marino Falieri,” — rzekł Kazanowa — „dany przezeń w dzień przed jego straceniem, 13go kwietnia 1355 r., signorowi Bartolomeowi Martignano, przodkowi twojego męża, jednemu z najpowierniejszych przyjaciół Falierego. Wkrótce po tegoż ścięciu, wydała rada wielka surowy rozkaz, aby dla zupełnego wytępienia pamięci straconego doży, wszystkie monety z jego obrazem przetopiono, a wszystkie portrety jego w przeciągu ośmiu dni, do spalenia wydano. Wszakże mimo ten równie tyrański jak i dziecinny rozkaz, pozostał ów obraz, który twój stary tak tajemniczo przechowuje, puścizną w jego rodzinie, która go jako relikwiję szczęśliwéj

dla siebie wróżby uważa. Podług owéj starodawnéj ustawy podpada każdy, u kogoby wizerunek Marina Falieri był znalezionym, dotąd jeszcze karze dziesięcioletniego więzienia na galarach. I to, moja droga duszo, jest powodem, dla czego twój małżonek ten obraz tak starannie ukrywa, i nigdy ci go pokazać nie chciał.»

„Szczęście, że ja to wiém! Tajemnica ta zamienia mego tyrana w niewolnika, który od dzisiaj tak skakać musi, jak ja mu zaspiéwam.... Będę go zaś tak dręczyła, jak ten stary nieznośny Otello mnie dotąd dręczył.»

»*Bravo, bravo,* aniele! Mąż w jego wieku nie ma już wcale prawa być zazdrosnym.»

»Teraz ja jestem panem!» rzekła hardo Pulcheryja. »Jutro rano musi mię mój mąż na plac św. Marka, a wieczorem na redutę zaprowadzić ... Tam się obaczymy, nieprawdaż, mój Jakobo?» zapytała, tuląc się miłośnie do piersi swego pocieszyciela. „Będę za Kolombinę przebrana.... niebieska wstążka u szyi oznajmi ci: to jest Pulcheryja, która z tobą piérwszego dnia swojéj wolności chce użyć.»

„Ja będę tam za kapitana morskiego maskowany, i znajdę koniecznie sposób wydarcia cię ze szponów twego starego niedźwiedzia.»

„Potém wsiądziemy do gondoły, a....»

„Reszta samo z siebie się rozumié;» zakończył Kazanowa i przycisnął kochankę do serca.

Śród słodkiéj pogadanki miłośnéj szybko upłynęła godzina. Około północy pożegnał nasz bohater kochankę.

* *
*

Nazajutrz rano przebrała się signora Pulcheryja za Kolombinę i kazała swemu staremu małżonkowi zaprowadzić się na plac św. Marka. Filipo, przyzwyczajony bardziéj do rozkazywania niż słuchania, poważył się zrazu czynić niejakie protestacyje, lecz Pulcheryja pogroziła mu palcem i nie rzekła nic więcéj, jak:

„Signor Filipo, pamiętaj o szafie.»

Stary mąż, nie obdarzony zbyt zapamiętałą odwagą, pobladł. Jego małżonka zaś roześmiała się, mówiąc:

»Zdejm płaszcz swój.... tam wisi maska dla ciebie... Pójdziesz ze mną przebrany za poliszynela.»

„Co też ty sobie myślisz! Miałżebym się na starość przebiérać za bajaca?»

„Ja tak chcę!» rozkazała Pulcheryja, biorąc czarną półmaskę na twarz.

„Pulcheryjo, nie przyprowadzaj mię do gniewu.»

„Filipo, pamiętaj o portrecie doży.»

„Pęknę ze złości!» zawołał stary.

„Przeze mnie, pęknij; ale nie baw się długo, gdyż pałam niecierpliwością widzenia cię w stroju bajaca.»

„Kobiéto, zabijasz mię!»

»No, jakże? Czy ci się podobam w tym stroju?» zapytała nowa Kolombina, stając tuż przed małżonkiem.

»Szatan z ciebie!»

»A z ciebie, signor Filipo, zdrajca, zbrodzień, którego, jedno słowo z ust moich, na dziesięć lat do więzienia wtrącić może. Nie zapominaj o tém, i spiesz się.»

Biédny, zdradzony Filipo, musiał chcąc nie chcąc przystać, i *par ordre du Mufti* wdziać krzyczącą maskę poliszynela na swój stary, rozpadający się kościotrup. Z niebieską wstęgą u piersi, a zgarbionym bajacą przy boku, pospieszyła piękna Kolombina na plac św. Marka, rojący się tłumem masek.

Już tam od świtu niewypowiedziany gwar i natłok panował; można się było tylko z niebezpieczeństwem życia przecisnąć. Więcéj niż pięćdziesiąt tysięcy masek uwijało się w stóbarwnéj mieszaninie. Wszyscy pchali się i potrącali wzajemnie, wrzeszczeli, spiewali i gwizdali, jakgdyby piekło całą swoję załogę szatanów z rozwiniętemi chorągwiami przy muzyce wojskowéj, na świat było wypuściło.

* *
*

W tym gwarnym ścisku okazała się teraz jedna z najpiękniejszych Kolombin, prowadzona przez jednego z najszkaradniejszych poliszynelów w całéj Italii. Kwaśna, skrzywiona mina a wesoła maska starego jegomości Martignano tworzyły najsprzeczniejsze przeciwieństwo. Signor Filipo złorzeczył w duszy Pulcheryi, lecz nie śmiał tego głośno uczynić, gdyż miała ona władzę wtrącenia go na dziesięć lat do więzienia. Podczas gdy wszystko wkoło weseliło się i pustowało, nasz stary bajaco wzdychał w goryczy serca swego, przeklinał na czém świat stoi, i trząsł się poczęści z gniewu, poczęści z zimna, które z rana, jego lekki strój maskowy zbyt nieprzyjemnie przenikało.

„Moje dziécię,» — ozwał się wreszcie signor Filipo skruszony — „pójdźmy już do domu; tu zimno, że aż mi zęby dzwonią, a przytém trudno się pomiędzy tą szaloną zgrają przecisnąć. Pamiętaj dziécię na moje lata i podagrę...»

»Pamiętaj o portrecie w szafie;» odrzekła Pulcheryja; oglądając się wkoło za swoim kapitanem.

„Jesteś okrutną, kobiéto!» wyjąknął drżący od zimna poliszynel.

„Jesteś bardzo zabawnym, bajaco!» odpowiedziała Pulcheryja, zanosząc się od śmiéchu.

Tu zbliżył się do niéj wyglądany kapitan okrętowy i zlekka trącił ją łokciem. »To on!» pomyślała signora, i skinęła głową w znak odpowiedzi. W téj chwili maska znikła.

»Pulcheryjo!» ozwał się żałośnie zziębły bajaco. „Zlituj się nade mną, starym człowiékiem, który już boleść w żołądku czuje.»

„Signor Filipo był i będzie zawsze niewieściuchem! Jakże można, aby ktoś przy trzech stopniach mrozu, na zimno się uskarżał!” ozwała się ognista Pulcheryja.

»Nie zapominaj, moja kochana, że ja starszym jestem od ciebie.”

„A któż ci kazał, stary błaźnie, brać sobie młodą żonę!”

»Co słyszę! Zkądże ta mowa?”

»Czy ją rozumiesz!”

„Szydzisz ze mnie!”

»Zasługujesz nato, gdyż dręczyłeś mię i prześladował, jakbym była twoją niewolnicą. Teraz nadszedł czas, gdzie ci się równą odpłacę miarą!”

»Pulcheryjo, czy szatan w ciebie wstąpił!”

„Nie szatan ale twój Falieri, którego chowasz tam w szafie.”

„Ha, zginę!” zawołał nieszczęśliwy bajaco w rozpaczy.

„Czy wy jesteście signor Filipo Martignano?” zapytał jakiś jegomość w czerwoném domino, stając tuż przed nim.

»Do usług;” odrzekł dzwoniąc zębami poliszynel.

„Szukamy was od godziny;” ozwał się w pobliżu głos drugi, pochodzący z jakiegoś czarnego domino.

„Mnie szukacie?”

„W imieniu sprawiedliwości;” przemówił z tyłu ktoś trzeci w białém domino.

„Czegoż chcecie?”

„Abyście z nami poszli;” rzekli wszyscy trzej razem.

„Dokąd?”

„Do sądu;” oświadczyło czerwone domino.

„Pocóż?”

„Wytłumaczyć się;” odpowiedział czarny.

„Z czego?”

„Z występku, którego wasza rodzina od przeszło lat trzystu się dopuszcza;” dodał biały.

„W imieniu najwyższéj policyi, przyaresztujcie go!” rozkazał czerwony, zwracając się do swoich towarzyszy.

„Pójdźcie z nami!” ozwali się siepacze.

„Jezu-Chryste, zginąłem!” krzyknął bajaco. „Pulcheryjo, żono moja, nie opuszczaj swego nieszczęśliwego męża....”

„Nie wolno!” rzekł czerwony.

»Więc wracam do domu, mój Filipo!” ozwała się Pulcheryja, i porzuciwszy starego, zniknęła w tłumie masek.

„Święty Marku, gdzież moja żona!” zawołał signor Filipo.

„Zniknęła;” odpowiedzieli obaj siepacze, i wziąwszy go między siebie, uprowadzili z sobą.

Gdy Pulcheryja i czerwona maska z oczu siepaczom zniknęły, rzekł biały do czarnego:

»Teraz zatrzymajmy się trochę, i przekąśmy co razem.”

„A signor nie będzie łaskaw zjeść tu z nami śniadania?” zapytał czarny.

»Wszakże macie mię aresztować?”

„Tak jest,” — ozwał się biały — „ale ponieważ jesteśmy w dobrym humorze, więc wolimy cię....”

»Puścić;” zakończył czarny.

„Jakto? Nie jesteścież więc siepaczami?”

„Broń Boże!” odpowiedzieli tamci, śmiejąc się.

„Ha, łotry! A cóż wy za jedni?”

„Maski, które chciały sobie pożartować;” rzekł biały.

„Napędzić ci strachu;” dodał czarny.

»O nikczemni zwodziciele! Gdzież moja żona?”

»I wyż macie jeszcze żonę?” zapytali tamci z miną niedowierzającą.

„Młodą, lekkomyślną żonę, któréj nierozsądek do rozpaczy mię dziś przywodzi!” krzyczał bajaco i zdarł sobie wściekle maskę z twarzy. „O matko boska! Gdzież jest Pulcheryja!?”

„Czyż się doprawdy tego nie domyślacie?” zapytał biały.

»Signora buja teraz gdzieś z swoim młodym, przystojnym kawalerem...”

„Który jéj przedstawia, jak nierozsądną jest rzeczą....”

„Perły swojéj młodocianéj piękności rzucać przed starego, zgrzybiałego męża....”

»O, św. Marku, oto tam stoi moja żona!” krzyknął starzec i rzucił się pomiędzy tłumy, aby się przedrzeć do swojéj Kolombiny, która miłośnie ku jednemu z najswawolniejszych arlekinów weneckich przychylona, po placu św. Marka się przechodziła.

„Gadzino! Przecież cię wreszcie znalazłem?” krzyknął rozzłoszczony małżonek, i chciał Pulcheryi maskę z twarzy zedrzeć.

„Niegodziwy bajaco!” zgromił go jéj towarzysz. »I tyż śmiesz naruszać świętą wolność maskową?”

»Mam prawo do tego! Ta maska, to moja żona!”

„Kłamiesz, bajaco!” odparł arlekin i zadał staremu tak ciężki raz w żołądek, iż signor Martignano ku wielkiéj uciesze wszystkich obecnych, chcąc niechcąc koziołka wywrócił.

Gdy zaś najbiedniejszy ze wszystkich poliszynelów na nogi powstał, Kolombina i arlekin dawno już uszli.

Stary Filipo puścił się na zdarz-Boże znowuż w pogoń za niemi, i jak postrzelony odyniec miotał się po całym placu św. Marka, szukając żony.

Tymczasem Pulcheryja siedziała oddawna przy boku kochanka swego w gondoli, która uszczęśliwioną parę do Murano zawiozła, gdzie oboje bezpiecznie w pierwszéj lepszéj chacie rybackiéj, uciechom karnawałowym oddawać się mogli.

* * *

Biédny signor Filipo, którego męczarni nikt opisać nie zdoła, nalatawszy się daremnie za swoją żoną, wrócił dopiero o północy, wpół nieżywy do domu.

Pulcheryja spała już w łóżku.

»Przebudź się!« krzyknął jéj stary nad głową, i potrząsł ją gwałtownie.

»Cóż tam?« zapytała zacna małżonka.

»Pytasz się jeszcze! Wyznaj wszystko gadzino, lub giń natychmiast!«

»Filipo nie zapominaj o szafie;« rzekła oziębłe Pulcheryja i obróciła się na drugą stronę.

»Rozpacz mię bierze!« krzyknął nieszczęśliwy małżonek, i zadrżał z trwogi i dreszczu.

Biędny bajaco przeziębił się na dni kilka.

STRACHY.

Znany niemiecki autor, książę Pückler-Muskau, opisuje w »Gazecie powszechnéj« następujący świéżo wydarzony wypadek, opowiadany mu przez pana S...., komendanta starożytnego zamku Wartburg koło Eisenach, w w. ks. Weimarskiem. — Pewnej nocy, podczas gwałtownéj burzy, pan S...., w obawie aby wicher jego ulubionej, i właśnie przed niedawnym czasem z wielkiémi trudy i koszty odnowionej sali rycerskiéj, nie uszkodził, zrywa się coprędzéj z łoża, bierze latarkę i nie budząc nikogo ze snu, spieszy sam jeden nadół do sali. Jeszcze w znacznem oddaleniu od wnijścia, zdaje mu się, jakby słyszał głośny chrzęst w sali. Dobywa więc klucza, aby spieszno drzwi otworzyć, lecz ku niemałemu zdziwieniu, widzi je już na oścież otwarte, chociaż trudno było przypuścić, aby to jedynie skutkiem przeciągu wiatru stać się mogło. Nie zdając sobie jednak dokładniejszéj sprawy z osobliwszego trafu téj okoliczności, wchodzi spieszno do środka, i znajduje tam wszędzie, gdzie tylko latarką poświecił, wszystko w zwyczajnym stanie. Tém uspokojony, chce już powrócić, ale przybywszy u końca sali, postrzega ze zdumieniem, iż rycerz, który tamże na czarno ubranym turniejowym koniu, w zbroi podobnegoż koloru, szereg ustawionych w sali rycerzy zamykał, z miejsca swego zniknął i tylko sam koń bez jeźdźca pozostał. Na ten widok dreszcz mimowolny przejął komendanta; — lecz wystawmy sobie przestrach jego, gdy obróciwszy się ku oknu, ujrzał w niży okiennéj owego brakującego rycerza, z opartą o kamienną poręcz głową, z wytrzeszczonemi nań oczyma, wygodnie siedzącego, i w téjże samej chwili z łoskotnym trzaskiem i grzmotem przez sekundę wraz z innémi martwemi maskami, żółto-siarczystą błyskawicą oświeconego. W niewymownym przestrachu wzburzonej fantazyi, zdaje się komendantowi, że już widzi, jak rycérz nogę podnosi i ku niemu iść się zabiera.... aż wreszcie, straciwszy przytomność, pan S...., nie mogąc dłużéj tego strasznego znieść widoku, w śmiertelnéj trwodze ucieka. Instynktem wiedziony, opamiętuje się aż na łóżku, gdzie niepewny, czy to rzeczywistość czy tylko senne widma go łudziły, po nadzwyczajném unużeniu w głęboki sen zapada. Nazajutrz rano, gdy wszelka groza nocna przed światłem jasnego poranku ustąpiła, pan S.... gniewa się sam na siebie, iż dał się podobnym strachom niepokoić, i wmawia w siebie usilnie, że w dzisiejszych czasach cuda do dziecięcych bajek należą, a zatem wszystko naturalnym biegiem rzeczy dziać się musiało. Dla upewnienia się w tem przekonaniu, ubiera się żywo, idzie wraz z służącym znowuż do starożytnej rycerskiéj sali, którą wczoraj przy swoim niezwykle przyspieszonym odwrocie zamknąć zapomniał. Wszakże przyszedłszy do drzwi, znajduje takowe, jak zwykle, na dwa spusty zamknięte, a gdy do środka wszedł, powitał go miły blask rannych promieni, które po czarnych stalowych puklerzach migocąc igrały; zastaje wszystko w należytym porządku, żadna zbroja ani ruszona, a ów czarny rycerz z spuszczoną w dół dzidą, siedzi jak dawniéj nito przykuty na koniu. Dopiéro po najdokładniejszych oględzinach postrzega komendant małą zmianę. Lejc konia spoczywał tylko po części w ręku rycerza, gdyż lewy rzemień był rozerwany i zwisał rumakowi po szyi. Nie można zaiste zaprzeczać, iż staremu, spruchniałemu lejcowi coś podobnego i bez żadnéj innéj zewnętrznéj przyczyny zdarzyć się może — jakoż mimo najusilniejszych starań nie powiodło się dotąd znaleźć dalszego naturalnego wyjaśnienia téj całéj okoliczności. Komendant S.... wymógł na sobie przekonanie, iż to wszystko było tylko niezwyczajnie żywem zjawiskiem sennem, co tém prawdopodobniejszą rzeczą być mu się zdaje, iż wkrótce potem w nerwową zapadł gorączkę. Ztemwszystkiem wątpić można, aby prócz nakazu powinności, coś innego tak łatwo do powtórnego północnego zwidzenia jego ulubionéj sali rycerskiéj, skłonić go mogło.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 30ty i zawiera: 1) O uprawie pasternaku na otwartem polu. 2) Najnowsze doświadczenia w hodowaniu zwierząt domowych. (Ciąg dalszy.) 3) Porównanie korzyści otrzymanych z cukrowni maceracyjnej chrząstowskiéj w Kaliskiem, u hr. Potockiego z fabryką prasową pudliszewską w Poznańskiem, u hr. Józefa Lubieńskiego z r. 1844/45 z uwagami nad fabrykacyją cukru w prowincyjach polskich. (Przez Rudolfa Białkowskiego.) 4) Zadanie do nagrody. 5) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 16ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Ukryte drzwiczki. Ciąg dalszy. 2) Wiersz, ofiarowany Feliksowi Lipińskiemu. 3) Zadanie do nagrody. 4) Uwiadomienia.

Michelet mówi o źwierzętach: »Źwierzę!... niewyjaśniona tajemnica!..... Nieskończenny świat snów ciemnych i bolów niemych, które jednakże mimo niedostatek mowy, zbyt widocznémi znaki mówią. Cała natura oburza się na barbarzyństwo, z jakiem człowiek źwierzęta, tychto młodszych braci swoich, zapoznaje, poniża, dręczy; cała natura wzdryga się na to, i zaskarza człowieka przed tą istotą, która źwierzęta i ludzi stworzyła. Przypatrzmy się jeno bez przesądu téj zadumczywéj posępności źwierząt, i temu ich wyraźnemu pociągowi ku ludziom, który się objawia w źwierzętach najbardziéj umysłowo rozwiniętych, jak np. w koniu, psie i t. d. Nie zdajeż się, iż to są dzieci, które jakaś nieprzyjaźna czarodziejka w ich umysłowem rozwijaniu się wstrzymała, i które dlatego nie mogły wznieść się wyżéj nad piérwsze, niepowiadome rojenia w kolebce — Sąto może upokorzone, skazane na karę dusze, na których przemijająca klątwa losu ciąży?... Smutne oczarowanie, w którem ujęta, niedokształcona istota, jakby człowiek śpiący, od całego otaczającego świata jest zawisłą.... Ale właśnie dla tego, że niby spi, ma ona przystęp do świata

snów, o których my nic nie wiemy. My widzimy jasną, zwierzęta widzą ciemną stronę świata, a któż wie, czy ta ostatnia nie jest rozleglejszą? W oryjencie utrzymała się dotąd wiara, że źwiérzę — jest uspioną, zaczarowaną duszą; w średnich wiekach taż wiara znowu powróciła.«

Północno-amerykański kowal Elihu Burrit żyje wprawdzie tylko jako skromny rzemieślnik, lecz jest oraz tak uczonym lingwistą, iż w tym względzie może samemu kardynałowi Mezzofanti nie ustępuje, a przytem słynie także na całą północną Amerykę jako najgorliwszy filantrop. Urodzony w r. 1811 z uczciwych ale ubogich rodziców, umiał Burrit już w 6m roku życia wszystkie główne ustępy pisma świętego na pamięć. Będąc w terminie, zgłębiał on w godzinach wolnych od zatrudnienia, najznakomitszych klasyków angielskich, a później przykładał się usilnie do umiejętności matematycznych. Wkrótce potém nauczył on się z zadziwiającą łatwością po łacinie, po niemiecku, po francuzku i po grecku, zaczem w kilku latach wszystkie europejskie języki sobie przyswoił. Nareszcie przystąpił do nauki języków oryjentalnych, których wiadomości również gorliwie i pomyślnie w niedługim nabył czasie. W r. 1838, przy pewném zgromadzeniu, oznajmił gubernator Everett iż Burrit pięćdziesiąt różnych języków i narzeczy bez nauczyciela się nauczył. Mimo to nie zaniedbuje Burrit bynajmniéj swego rzemiosła, chociaż ilość i treściwość jego prac literackich są prawdziwie zadziwiające. Napisał on mnóstwo rozpraw do dzienników naukowych, a przytém miéwał liczne odczyty, które w Nowym Jorku, w Filadelfii i wielu innych miastach Zjednoczonéj Ameryki zawsze mnogą i dobraną publiczność zgromadzały. Gdy Burrit teraz właśnie jest w sile mezkiego wieku, przeto można się jeszcze wiele po jego badaniach naukowych spodziéwać.

Żywy świadek czasów przedpotopowych. Niedawno temu, w kopalniach węgla kamiennego w Bathgate w Anglii, zdarzyło się, iż ze świeżo rozłupanéj bryły węgla wyskoczyła — żywa żaba. Miejsce w którém się znajdowała, było zupełnie gładkie, i miało dokładnie kształt żaby; nie można téż było dostrzedz żadnéj szpary ani szczeliny, przez którąby mogło było wnikać powietrze. Tylne nogi żaby były przynajmniéj dwa razy tak długie, jak zazwyczaj, przednie zaś ze szczętem prawie znikły. Zaraz po uwolnieniu swojém wyskoczyła wesoło, i zdawała się wody szukać. Zresztą była ona dość mała, miała kolor jasno-bronzowy, oczy świécące, lecz w ogólności zachowała przecież cechę swojego pochodzenia z owych czasów, kiedy może wraz z Noem témsamém oddechała powietrzem, lub też z ojcem Adamem i matką Ewą w téjsamej kąpała się wodzie. — Przed niejakim czasem wspomnieliśmy podobny przypadek o pszczole przedpotopowéj.

Nowe *perpetuum mobile.* Dziennik »*Bristol Mercury*« donosi, iż zégarmistrz Stone w Cordiff w Anglii sporządził kulę metalową, mającą 2 cali w średnicy, która za pomocą wewnętrznego mechanizmu, na równéj przestrzeni, nieoznaczoną liczbę lat, a gdyby ani powierzchnia ziemi ani téż powierzchnia kuli tymczasem szkodliwych zmian nie doznała, przynajmniéj tysiąc lat w jednym kierunku toczyćby się mogła. Pan Stone oświadcza nawet, iż na żądanie gotów jest zrobić podobny automat, mający 20 cetnarów wagi — co jako przykład nowéj siły poruszającéj, ze wszech miar na uwagę mechaników zasługuje. Co zaś do czasu tysiącletniéj trwałości téj nowéj machiny, nie wiémy czy p. Stone naprawdę próbę z nią w tym względzie chce przedsięwziąć, jak to w saméj rzeczy uczynić przyrzeka.

Dagerotypija plastyczna. W Bostonie, w Północnéj Ameryce, wystawione są teraz na widok publiczny biusty pierwszych dyplomatów kraju, wykonane po mistrzowsku przez pana Blanchard za pomocą nowo przezeń wynalezionéj machiny. Ten wynalazek pana Blanchard stanowi nową epokę w rzeźbiarstwie, i ma się do samegoż rzeźbiarstwa, jak dagerotypija do rysownictwa. Najbieglejszy rzeźbiarz nie jest w stanie nadać swoim utworom téj naturalnéj prawdy i wierności, jakiémi wyroby pana Blanchard się odznaczają. Samo urządzenie machiny jest tego rodzaju, iż można nią odwzorowywać wszelkie przedmioty plastyczne jakiejkolwiek wielkości, z najdokładniejszém zachowaniem wszystkich chociażby najdrobniejszych rysów, muszkuł, żyłek i t. p. W pracowni pana Blanchard w Bostonie znajdują się obecnie egzemplarze takich wizerunków sławnych ludzi, we wszelkich rozmiarach, zacząwszy od kameów Franklina i Washingtona wielkości grochu, stopniowo aż do wielkości naturalnéj marmurowych posągów Webstera, Claya, Taylora i Jacksona — u których prócz nadzwyczajnego podobieństwa rysów, także niedorównaną dotąd prawdę anatomiczną podziwiają.

Czegoto czas nie może? Królewskie lilije francuzkie, dawne insygnija monarchii Ludwika XIVgo, wszędzie znowuż na widok występują. Nawet w *Palais royal*, gdzie je w r. 1831 zatarto, jaśnieją one znowuż na tarczach herbowych, jak i pod portretem króla Filipa. Przed niedawnym czasem pojawił się mały dziennik ministeryjalny z herbami wszystkich mocarstw, a w górze nad niemi wszystkiémi widać lilije domu orleańskiego. W kaplicy rycerzy orderu podwiązki nad krzesłem Ludwika Filipa wieje sztandar z lilijami. Niedawny kogut galicki, symbol rewolucyjny, ustąpił już z kaskietów piechoty francuzkiéj.

Zgodność małżeńska. Jesteśmy przy śniadaniu. Gospodyni domu naléwa do filiżanki. »Moja droga;« ozwie się małżonek, »nie wolno téż się zapytać, co tam naléwasz, czy kawę czy herbatę?« — »Albo co?« rzecze z niezadowoleniem małżonka. — »Nic, moja droga,« odpowié małżonek uprzejmie, »chciałem cię tylko prosić, abyś mi dała herbaty, jeżli to, co tam naléwasz, jest kawa; lub przeciwnie kawy, jeżli jest herbata, którą właśnie naléwasz.«

Przebiegły komisant. Niedawno w pewnym zajezdnym domu w Sztutgardzie, gdy właśnie obiad przy *table d'hôte* rozdawano, wchodzi mały, garbaty człowieczek, za którego okazaniem się w sali, wszyscy licznie zgromadzeni goście jednogłośnie kichać zaczęli. »Tam do licha!« zawołał jeden z spółbiesiadników. »Zkądże nam wszystkim w jednéj chwili taka ochota do kichania!« — »Jato jestem przyczyną temu;« ozwał się garbusik, który niemało tą swoją sztuczką cieszyć się zdawał. — »Jakto!« rzecze ktoś inny. »Czy pan jesteś czarownikiem?« — »Nie, moi panowie, jestem poczciwym człowiekiem, a w szczególności ajentem pewnéj fabryki tytoniu w Magdeburgu. Mieliście panowie sposobność przekonać się o dobroci naszego towaru! Któryż więc z panów życzy sobie pakieciku?« W oka mgnieniu przedał przemyśny ajent 50 funtów swojéj tabaki i udał się natychmiast do innego hotelu, gdzie mu równie pomyślnie się powiodło.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.